ROK DRUGI.

№ 50.

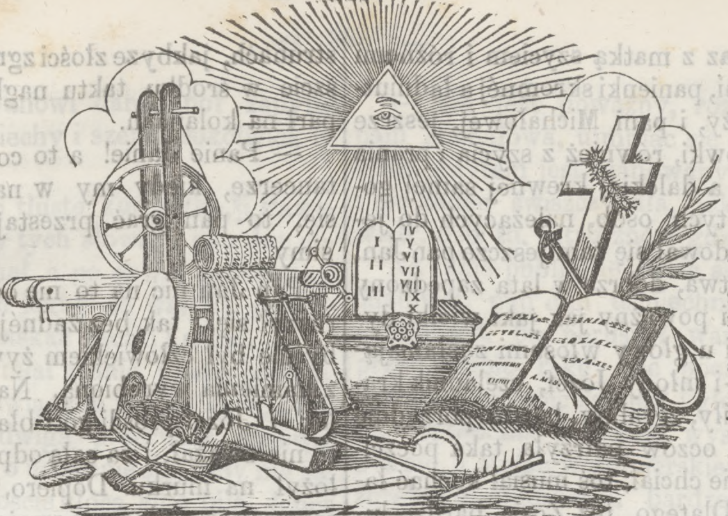
**Warszawa.**

**Dnia 1 (13) grudnia.**

**1857.**

**Niedziela**

3. ADWENTU.



REDAKCYA
CZYTELNI
przy ulicy Chmielnej
Nr. 1527.

PRENUMERATA
rocznie w Warszawie rsr, 1 k. 80, półrocznie k. sr. 90, kwartalnie k. sr. 45. miesięcznie k. sr. 15.
Na prowincyi i w Cesarstwie rsr. 2 rocznie, a z kopertami rsr. 4. Kto zaś już prenumeruje w kopercie jedno z pism perjodycznych warszawskich, płaci tylko rsr. 2 rocznie.

*„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“* (S. Wincenty à Paulo).

# CZYTELNIA NIEDZIELNA.

*Gdy słuchasz Mszy Śtéj, tak ci się nową i godną wdzięczności wydawać powinna, jak gdyby w tymże dniu Chrystus zstępował do łona Niepokalanéj Dziewicy, aby się tam stał człowiekiem; lub jak gdyby do krzyża przybity cierpiał i umierał dla zbawienia ludzkiego.* (O naśl. Chr. K. 4 R. 2).

## Obrazek zimy.

Wiosna, świątecznym ziemi ubiorem,
Lato nam zboże, owoce daje,
Jesień wszystkiego obfitym zbiorem;
Lecz chociaż po nich zima nastaje,
I ona również lśni dla nas życiem,
I także piękna o! bracia moi!
Bo pod tak śnieżnem zewsząd okryciem
Jak dziewczę w ślubną szatę się stroi.
Gdy wśród niej słońce blask swój roztoczy,
Drzewa wieńcami srebra jaśnieją,
A ich gałązki, jak strój warkoczy
Zda się że perły, brylanty sieją.
Gdy takim strojem wokoło płonie,
Ziemię po trudach błogo weseli,
Rzucone ziarno kryje w swém łonie,
Które nam w lato kłosami strzeli.
Bo bracia moi, zima jest nocą,
W któréj po pracy ziemia spoczywa,
By się rozbudzić z żywszą znów mocą,
I wstać jak wiosna hoża szczęśliwa:
By drzewa w liście bujne przystroić,
Z lodowych więzów uwolnić wody,
By latem zbiory nasze podwoić,
I niemi karmić wszystkie narody.

## Powiąstki opowiadane z prawdziwych wydarzeń.

### VII.

A ja śpiewam: hu! ha! ha!
Niech strażaka każdy zna!

Przy jednéj z bocznych ulic naszego powiśla, zamieszkałego przez mniéj zamożną ludność Warszawy, w pomieszkaniu malutkiem, ale czystém, schludnem, że jak to mówią, w każdym sprzęcie przejrzeć się można było, obchodzono dzień imienin pani Jadwigi Bugajskiéj, przypadający na dzień 15 października. Gronko osób niewielkie składało się z syna pani Jadwigi Pawełka, chłopca zucha, jakich mało, służącego w straży ogniowéj, a powszechnie przez Warszawiaków zwanych *strażakami*, z córki Zosi

trudniącéj się wraz z matką szyciem i różnemi kobiecemi robotami, panienki skromnéj a ładniutkiéj jak pączek róży, i pani Michałowéj, jeszcze dosyć młodej wdówki, również z szycia i prania utrzymującéj się, a dalekiéj krewnéj saméj gospodyni. Oprócz tych osób, należących do jednéj rodziny, znajdował się tam jeszcze pan Jan, woźny z sądownictwa, dobrze w lata zapędzony kawaler, sztywny i poważny jak jaki wielki dygnitarz, bocznemi u głowy włosami zasłaniający sobie łysinę—i młody Józef, czeladnik krawiecki, chłopak miły, zgrabny, bardzo porządnie ubrany, z którego oczów patrzyła taka poczciwość, że choćbyś nie chciał, toś musiał kochać ładnego chłopaka. Dlatego też Zosia bardzo lubiła Józefa, a choć za każdem jego przyjściem, co się dosyć często zdarzało, rumieniła się jak kalina, przyciskała ręką bijące serduszko, i spuszczała oczy ku ziemi; wiedziała jednak, że ma śliczne oczy szafirowe, gęste pukle jasnych włosów, i że bardzo często na nią pogląda.

Pan Jan woźny, zwyczajem znowu starych kawalerów naprzód zaczął stroić koperczaki do Zosi, ale gdy mu wszedł w drogę Józef, i przekonał się, że młodziucha, jak go nazywał, nie pokona, zażył tabaki, mruknął coś pod nosem i z największą grzecznością przystąpiwszy do pani Michałowéj, pocałował ją tak głośno w rękę, że aż pani Bugajska odwróciła się poza siebie, i zapytała, co się takiego stało?

Na te słowa pan Jan zarumienił się jak wiśnia, a równe zmieszanie się pani Michałowéj biorąc za dobrą wróżbę dla siebie, zaczął się od téj pory uważać za zdeklarowanego konkurenta do młodéj dosyć wdówki.

W téj chwili, kiedyśmy zaczęli nasze opowiadanie, pani Bugajska rozlewała w kąciku przy stoliku herbatę, pan Jan z poważną miną siedząc przy piecu, grał oberka na skrzypcach, a choć muzyka była sztywna i nieochocza jak sam grajek, jednak dwie pary po środku izby ostro wywijały. W pierwszéj parze tańczył Józef z Zosią, któréj sukienka płócienkowa, świeżo wyprasowana, wiewając na wszystkie strony, szeleściła jak skrzydła ptaszka, kiedy lata w powietrzu za muszkami— w drugiéj przytupywał, a nawet czasem pokrzykiwał Pawełek z panią Michałową, którą to tak cieszyło, że i tańczyła i śmiała się zarazem. Ale pan Jan zupełnie był z tego niezadowolony — odął się, zmarszczył brwi i czoło, smykiem coraz ostrzéj wodził po strunach, jakbyze złości zgrzytał zębami, aż wreszcie w środku taktu nagle uciął i skrzypki oparł na kolanach.

— Panie Janie! a to co się stało? zawołali tancerze, kiedy my w najlepsze rozhulaliśmy się, to pan grać przestajesz? Prosimy, prosimy.

Pan Jan nic na to nie odrzekł, nawet nie poruszył się, i tak bez żadnéj zmiany siedział, jakby nie był człowiekiem żywym, ale jaką figurą z kamienia wyrobioną. Napróżno Zosia, Pawełek i Józef prosili go i błagali; pan Jan nic na to nie zważał, i za całą odpowiedź skrzypki położył na murku. Dopiero, kiedy wdówka zobaczywszy to, połączyła swoje prośby z innemi, pan Jan uśmiechnął się, nawet sięgnął ręką ku skrzypkom, ale spojrzawszy na strażaka, jak ten z zalotną grzecznością podawał już jednę rękę pani Michałowéj, spochmurniał, rękę cofnął, chowając ją w kieszeń, i głową poruszył kilka razy i w tę i w ową stronę, jako odpowiedź, że grać ani myśli. Tancerze nasi znak ten doskonale zrozumieli, a widząc, że nie ma co robić, odstąpili od upartego dziwaka, i jakby na dokuczenie mu Pawełek tak ostro zawinął panią Michałową, że tylko mignęło się, jak przebiegał na drugi koniec pokoiku.

— Kiedy pan Jan nie chce grać, odezwał się Pawełek, to mniejsza o to; będziemy w gry się bawić—ot! na ten przykład w *darowaneyo*.

I wnet rozpoczęła się gra. Po obejściu kolei odezwała się pierwsza pani Michałowa:

— Mnie darowano pana Jana ze skrzypcami, kazano się ukłonić pięknie i prosić, żeby nam zagrał mazura.

Wszyscy na te słowa zaklaskali w ręce, krzyknęli: brawo! a pan Jan z wielkiego zadowolenia aż się uśmiechnął, kiwnął głową na znak potwierdzenia.

Potem z kolei znów mówił Józef:

— Mnie darowano panią Michałowę, i pan Jan kazał ją usmażyć na patelni, a potem, żebyśmy ją wszyscy zjedli.

— Jak Boga kocham, przerwał pan Jan, tak nie wiedziałem, że to pani Michałowa darowaną została panu Józefowi, bo inaczéj...

Po każdem słowie nadaremnie pan Jan odkaszliwał, muskał się po łysinie, jąkał, gdyż tak mu w gardle ściskało, że słowa przemówić nie mógł.

— A cóż panu Janowi darowano? zapytał Pawełek, gdy się śmiechy i szepty cokolwiek uspokoiły.

— Mnie darowano tłuste kurczątko, i Pawełek kazał mu... i przy tych słowach pan Jan cokolwiek się zatrzymał, a po chwili spuszczając oczy, już półgłosem jakby ze wstydu dokończył: i kazał mu wyściskać rączki i nóżki.

Tu już śmiech nie miał granic, i taka powstała wrzawa między bawiącymi się, że aż się okna zatrzęsły, a pani Jadwiga przerwała rozlewanie herbaty, prosząc o uciszenie się, żeby nie sądzono, iż się u niej goście kłócą albo biją. Jeden tylko Pan Jan, nie dzielił ogólnéj wesołości, i siedząc w kącie, tak sapał, jakby po największem zmęczeniu, a kiedy się wrzawa zaczęła troszkę uspokajać, odchrząknął biedny stary kawaler, i splunąwszy, rzekł jąkając się:

— Taka gra, to... jeśli prawdę powiedzieć, nie do rzeczy... bo to... panie odpuść... dziwolągi, same dziwolągi i nic więcéj.

— Właśnie, że takie dziwolągi, to najwięcéj bawią, odezwał się Pawełek, a gdy pan Jan nic już na to nie odrzekł, tylko coś mruknął i poruszył brwiami i czołem, Pawełek mówił daléj: Teraz ja państwu powiem, co mnie darowano. Otóż mnie pan Jan darował pożarną sikawkę, a pani Michałowa kazała mi zatańczyć z nią mazurka.

— Oj! to, to, to, zacierając z radością ręce odezwał się pan Jan, prześliczna para, już lepszy mój podarunek.

— Lepszy, albo i nie lepszy, odrzekł na to Pawełek, cokolwiek obrażony, że śmiano to, co do jego służby należy, lekceważyć. Dar twoj, mój panie Janie! ludzie zjedzą, i ani śladu z niego nie pozostanie, a sikawka pożarna ciągle gasi ogień i ciągle, nawet długie lata jest użyteczną.

— Niech tam i tak będzie, odrzekł na to pan Jan, pragnąc widać dokuczyć Pawełkowi, ale twoję służbę, mój Pawełku chwal nie chwal, to ci powiem, że gdyby mi sto tysięcy dawano, tobym nie poszedł do waszéj straży.

— Wierzę panu, odpowiedział Pawełek, uśmiechając, się gniewliwie; naprzód dlatego, żeby pana nie przyjęli, powtóre, że tam biorą tylko młodych zuchów, żywych jak iskra, silnych, zdrowych, zwinnych, jak to ludzie mówią: i do tańca i do różańca— apan Jan, nie jest ani młodym, ani zwinnym, ani zuchem, ani....

— Ale jest poważny, rozumny, przerwała pani Michałowa, ujmując się za starym kawalerem; przytem jest szanowany przez wszystkich, i nie żaden świszczypała, jak strażaki, co jak wiatr, dziś tu, jutro znów gdzieindziéj.

Na takie publiczne ujęcie się za sobą pani Michałowéj, pan Jan uśmiechnął się, chciał coś przemówić, bo poruszył wargami i wyciągnął przed siebie rękę, ale poczuł, że mu język kołowacieje; więc zamilkł i głowę podparł na ręku. Wtenczas Pawełek wyskoczył na środek pokoju, i stając w żołnierskiej postawie, co przy zgrabnym mundurku bardzo ładnie odbijało, skubiąc mechowate wąsiki, potroszku już ciemniejące, odezwał się:

— Powiadasz pani, że strażaki jak wiatr, dziś tu, jutro gdzieindziéj?—prawda, że są takimi, bo patrz pani, ot! tam na przykład pali się. Ludzie się trwożą, uciekają, gdzie kto może, każdy wynosi co ma najlepszego, wzywając ratunku. Na wieżach strażniczych dano sygnały: szyldwachy sygnałują dzwonkami, my wybiegamy i w minutę już wszystko gotowe, marsz w drogę! Wiatrem więc wszystko idzie, bo cóżby się stało z biednymi pogorzelcami, gdybyśmy pożółwiemu wszystko robili, jakby nam ręce i nogi popętał? Nie! moi państwo—strażak każdy, to właśnie powinien być jak wicher, co nagle powstaje: tu wyrwie drzewo, tam zerwie pół dachu, w powietrzu chwyci chmurę, i bluźnie na ziemię ulewą—albo powinien być jak ptak, co w każdéj chwili może rozwinąć skrzydła i jak strzała puścić się tam, gdzie mu się podoba. Cóż by więc było, gdyby strażacy składali się z niedołęgów, z zasuszonych grzybów, co kroku nie może postąpić, żeby się nie zatrząsł, albo nie podparł kijem—a widzi pani.

— Zawsze jednak starszych należy szanować, odezwała się pani Michałowa.

— Ani słowa, ale i strażakami nie trzeba poniewierać, i nie należy ich nazywać świszczypałami.

— Ot! pijcie państwo lepiéj herbatę, odezwała się na to sama gospodyni, nakrywając stół serwetą, i stawiając szklanki, mléko, bułki, masło, sér i inne przybory podwieczorkowe, a westchnąwszy, mówiła daléj:

— Dobre to wszystko, co chléb daje, ale zawsze wolałabym, żeby mój Pawełek był czem innem, nie strażakiem.

— A to dlaczego mateczko?

— Moje dziecko kochane, bo i nie dosłużysz się niczego, i jeszcze możesz zostać kaleką.

Wszyscy potwierdzili tę uwagę matki, nawet pan Jan mając pełne usta jedzenia, wybąkał: prawda, prawda; tylko Pawełek przecząco potrząsał głową, i gdy się uspokoili, odezwał się:

— Moja mateczko, jaki wyjdę ze służby, cały czy niecały, Bogu to tylko jednemu wiadomo. Ale mi powiedźcie państwo, czy nasze straże pożarne są użyteczne dla miasta?

— A jakże, a jakże, odezwano się gwarnie, naprzeciw temu nic się nie mówi.

— Ja pamiętam, odezwał się p. Jan, a wszyscy ze zdziwienia, że sam bez zapytania przemówił, zwrócili ciekawe ku niemu oczy; ja pamiętam dawniéj.... to po mieście grzechotki traj, traj, trrrra! te... panie... w dzwony bą, bą, ba.... a stróże z bosakami... te... bodajcie... z konewkami... te... jakże się nazywa?... a bodajcie... na języku mam prawie....

— Może z kijami, domówił Pawełek, nie mogąc doczekać wymówienia się pana Jana.

— Z drabinami, nagle wybełkotał stary kawaler, ale i z kijami, bo jedni... panie tego... ratowali, a drudzy... panie tego... jak się nazywa....

— Patrzyli, domówiła wdowa, ratując coraz więcéj mieszającego się p. Jana.

— Patrzyli, powtórzył pan Jan, a przytem i kradli, więc kij był potrzebny.

— Ma się rozumieć, zabrał znowu głos Pawełek; wiecie państwo dobrze, jak to dawniéj bywało. Jak na mieście krzyknięto: pali się! to zdawało się, że to sądny dzień. Bez ładu, bez składu, każdy biegł, pchali się, rwali—ten nosił wodę, ten rzeczy, jeden ratował na prawdę, a dwóch kradło i przeszkadzało. Po mieście zaś trajkotanie grzechotek i bicie w dzwony taki robiło popłoch, a wrzawa przy ogniu od tylu ludzi, tak wszystkich straszyła, że jak paliło się w jakiem miejscu, to całe miasto prawie nie spało, a bliżsi ognia pakowali się i wynosili, bo czasem ogień tak się rozszerzał, że jeden się dom zapalił, a przy nim dziesięć i dwadzieścia innych zgorzało.

— Oj! prawda, oj prawda, odezwała się pani Jadwiga; bo raz o czwarty dom od nas, jak się ogień pokazał, to zanim nas pobudzono, już nie było czasu o rzeczach myśleć. Uciekliśmy, a czego ogień nie zniszczył, to ludzie wzięli, tak, że przy nas z mężem nie zostało nawet na owinięcie palca.

— A widzi mateczka, odezwał się Pawełek; dziś to się zupełnie inaczéj odbywa—bo gdy my sami bronimy i ogień w miejscu dusimy, nie pozwalając mu się szerzyć, wojsko znów i żandarmerya nie dopuszcza nikogo do ognia, bo tam obcy niepotrzebny, i pilnuje przytem, żeby najmniejszego nie popełniono złodziejstwa. Dlatego dziś tylko ten bywa stratny, co Bóg ogień ześle na niego, i co sam ogień mu weźmie. Inni sąsiedzi siedzą sobie spokojnie, a przypatrując się ogniowi, mówi jeden do drugiego: wnet tu przylecą komendy pożarne, to strażaki wlot ugaszą, tylko się mignie. I prawda: zawarczało, zadudniło, straż przyleciała, woda polała się strumieniem, zamigotały bosaki i topory, ot! i po ogniu!

— Już co prawda, to prawda, odezwała się matka, wzdychając, ale równie...

— Mateczko kochana, przerwał Pawełek, całując ją w rękę, na świecie różne są stany: kupcy, urzędnicy, tragarze, rzemieślnicy, fabrykanci, kominiarze, włościanie, żołnierze, policyanci, słudzy, i tam inni różni—i prawda mateczko, że wszyscy są potrzebni?

— No, naturalnie.

— Więc i strażacy są bardzo potrzebni; a że jeden człowiek nie może być wszystkiem, więc powinien cieszyć się z tego stanu, w jakim go Bóg pomieścił. Dlatego też ze służby mojéj w komendzie pożarnéj, tak jestem rad, że nie pomieniałbym się na żadne inne miejsce. Bo gdzie można być takim zuchem jak u nas—? i to wyrzekłszy Pawełek, siostrę porwał na ręce, wykręcił się z nią kilkarazy wkoło, i potem całując, posadził na krzesełku.

— Oj! ty roztrzepańcze! odezwała się matka, wiek młody tak się w tobie weseli, a nie służba; bo co może być w waszéj służbie przyjemnego?

— Co przyjemnego? zapytał Pawełek, i wyskoczywszy na środek pokoju, poruszając stosownie rękoma, mówił daléj: niech mateczka posłucha. Ja na ten przykład stoję na wieży na warcie. Noc, gwar na mieście cichnie, światła po oknach gasną, i całe miasto przykrywa się cieniem nocnym. Wówczas ja mateczko, jak ptak na skrzydłach, oczami oblatuję po nad wieżami, kamienicami; w jednéj chwili od rogatek Morymonckich szusnę do Wolskich, ztamtąd skoczę na Pragę, nie szukając mostu przez Wisłę, na któréj na tratwach widzę, jak się palą ogniska, i flisaki kręcą się przy płomieniu. I patrząc tak, myślę sobie: spijcie sobie spo

kojnie kochani warszawiacy, śpij matko kochana z Zosią i panią Michałową, śpijcie i wy moi przyjaciele i znajomi, bo my strażacy czuwamy nad wami, więc wam włos z głowy nie spadnie. I wtedy mateczko myśląc sobie, że czuwam nad bezpieczeństwem całego miasta, że na mojéj czujności spoczywa prawie życie i mienie moich rodaków, zda mi się, że już nie samemi oczami unoszę się nad miastem, ale jakby na jakich ogromnych skrzydłach, i nieraz bierze mnie ochota wyskoczyć z ganku i pohulać nad uspionymi.

— Jezus Marja! krzyknęła z przerażeniem pani Jadwiga, tuląc głowę syna do piersi, a tobie co do głowy przychodzi?

—Pani Jadwiga, panie... te myśli, zaczął bąkać pan Jan, ale Pawełek zobaczywszy, że mu się jakoś mowa nie składa, przerwał i mówił dalej:

—Nie lękaj się droga mateczko; nie taki ja nierozważny, żebym chciał tego probować, co mi się w głowie marzy.

— Ej! moje dziecko, odezwała się matka ocierając łzy z oczów; na wieży stać to fraszka, ale sam ogień, to już rzecz najniebezpieczniejsza.

— Prawda, że z ogniem niema żartu, ale słuchaj mateczko droga. Na mieście gdzieś tam daleko pokazał się ogień. Brzęknął dzwonek w koszarach, dzwon główny powtórzył sygnał; my już wszyscy na równych nogach, i w pięć minut poprzyczepiani do beczek, wozów, sikawek, jak ptacy do gniazda, z latarniami pozapalanemi ruszamy przez miasto, z takim hukiem i dudnieniem, że na trzeciej ulicy już nas słychać. Ludzie stają, przypatrują się, i każdy mówi: patrzcie, jadą nasi dzielni strażacy. Ale jak wicher przelecieliśmy przez miasto, przypadamy do ognia, i dalejże do jegomości. Ludziska rozpaczają—każdy wynosi manatki, kobiety płaczą, dzieci wrzeszczą, a tu ogieniaszek tylko trzeszczy, co tak wszystko zjada, czego się tylko dotknie, i niby płomienistemi językami posuwa się coraz dalej. Ale z nami nie ma żartu; bo jakeśmy się zawinęli około pana brata, jakeśmy mu wodą plusnęli w oczy, jakeśmy się wzięli do bosaków i toporów, a inni do wynoszenia rzeczy z pogorzeli, tak nie zeszło godziny, a z ognia nie zostało ani iskry, i my powalani węglem, sadzą, wolnym krokiem posuwamy się do koszar, i znowu przypatrują się nam warszawiacy.

— A i cóż wam z tego przyjdzie? odezwała się matka, wzdychając —dobrze to, pókiś w służbie i pókiś młody, ale jak wyjdziesz ze służby?

— To się mateczko ożenię, wezmę się do krawiectwa, żona do jakiego handelku, ludzie dopomogą, bo wiedzą, że uczciwie służę, i będę szczęśliwy, spokojny, otoczony miłością i szacunkiem ludzkim. Inni, co nie posiadają rzemiosła, pójdą w służbę na różnych dozorców przy gospodarstwie, lub wejdą do służby rządowéj i będą spokojni i szczęśliwi, bo dobremu to zawsze i wszędzie będzie dobrze.

— Oj! ty, ty, szaławiło, odezwała się matka, całując syna w głowę; a któraby też kobieta chciała takiego roztrzepańca?

Strażak nieznacznie wskazał matce na panią Michałową.

— Ale co tam, odezwał się głośno, takie rozprawy zostawmy na boku, a dziś tylko zabawa. Panie Janie zabrząkaj, a ja zaśpiewam.

I nie czekając, aż się stary kawaler wygrzebie, ujął się pod boki, a przytupując ochoczo, zaczął śpiewać na nutę mazura:

Ostro chłopcy, hej! strażaki!
Dzielne zuchy i junaki,
Stańmy sobie w jedno koło,
I przytupując wesoło,
Zaśpiewajmy: hu! ha! ha!
Niech strażaka każdy zna.

Kiedy się luzujem z warty,
Wtedy służba, to nie żarty,
Bo to rozkaz na czuwanie,
To nie w ciepłem łóżku spanie;
Więc cichaczem hu! ha! ha!
Niech strażaka każdy zna.

Brzęknął dzwonek, więc się pali:
Płomień bucha, dym się wali;
Héj! z kopyta z sikawkami,
Z siekierami, z bosakami,
Dudni miasto, hu! ha! ha!
Niech straż naszą każdy zna.

Skry się sypią, ogień parzy,
Całe miasto strachem gwarzy,
Nic nie pytaj, ostro bracie!
Daléj w ogień, bo nas znacie,
Że i w biedzie hu! ha! ha!
Bo strażaka każdy zna.

Gdyś w koszarach, strzyż uszami,
I jak jastrząb patrz oczami,
Lecz po służbie hejże! hasa,
I popuszczaj tylko pasa;
A więc śpiewam: hu! ha! ha!
Niech strażaka każdy zna.

Że to już było późno, po śpiewie więc wszyscy zaczęli się wynosić do domu; pożegnań, podziękowań, i przepraszań było co niemiara. Pawełek ucałował matce ręce, pan Józef grzecznie się ukłonił, a pan Jan chciał jakiemś grzecznem słówkiem pożegnać panią Michałowę, ale za otwarciem ust kichnął i tak się zakaszlał, że nie mógł ani jednego słowa przemówić. Pawełek pomiarkowawszy, że czekając na pana Jana, napróżnoby czas mitrężył, kiwnął tylko ręką, zapiął mundur, i pogwizdując, zuchowato z Józefem ruszył do koszar.

(Dalszy ciąg nastąpi).

---

## Rozmowa o Jeografii.

### IV.

(Ciąg dalszy, patrz nr. Cz. 47).

—

Zacząłem opowiadać wam, tak mówił ojciec do swych dzieci, o miastach gubernii Warszawskiéj; a pamiętacie też o jakich to była mowa?

*Jaś.* O, ja dobrze pamiętam: o Warszawie, Mińsku, Łowiczu, Piotrkowie i Częstochowie.

*Staś.* I tata jeszcze dodał, że Częstochowa należy do powiatu Wieluńskiego, chociaż jest większą od Wielunia.

*Jaś.* A czy o Wieluniu niema nic do powiedzenia?

*Ojciec.* Mój kochany, o jakiémże mieście niema co do powiedzenia? każde z miast naszych ma swoję historyję, ale ta należy właściwie do dziejów całego kraju; tu, w Jeografii, w krótkości tylko mogę wam o niektórych zdarzeniach napomykać. Otóż i Wieluń był kiedyś miastem dosyć znacznem i główném w téj cząstce Wielkopolski, którą ziemią Wieluńską nazywano. Pierwiastkowo ziemia ta nazywała sie Rudzką, bo stolicą jéj była Ruda, dzisiaj wieś o ćwierć mili od Wielunia położona. Ale że Ruda stała na wzgórzu, pozbawioném wody, więc przeniesiono stolicę téj części kraju do blizkiego Wielunia, leżącego przy źródłach z ziemi wytryskających. Obecnie Wieluń niczem się od innych miast powiatowych nie różni, i godne wspomnienia są w nim tylko kościoły i klasztory, a niedawno jeszcze była tam znakomita fabryka sukienna.

*Jaś.* Czy to była jedyna w naszym kraju fabryka sukienna?

*Ojciec.* Ale gdzie zaś; większych fabryk sukiennych w Królestwie mamy przeszło 40; z tych najznaczniejsze znajdują się w gubernii Warszawskiéj, a mianowicie w miastach tak zwanych fabrycznych, w których są zakłady nietylko do wyrobów wełnianych, ale i do innych, naprzykład, do bawełnianych, płóciennych, jedwabnych. Miasta fabryczne leżą w gubernii Warszawskiej w powiatach Łęczyckim, Kaliskim, Rawskim, Sieradzkim.

*Jaś.* Któreż to miasta gubernii Warszawskiéj nazywają się fabrycznemi?

*Ojciec.* Łódź, Zgierz, Ozorków, w powiecie Łęczyckim, Opatówek w Kaliskim, Tomaszów w Rawskim, Zduńsko-Wola w Sieradzkim. Ale że te miasta nazywają fabrycznemi, nie idzie za tém, aby w innych miastach lub nawet i wsiach fabryk nie było. Bo przecież prócz zakładów tkackich, to jest fabryk sukna, płótna, jedwabiów, są jeszcze cukrownie, fabryki porteru, piwa, oleju, powozów, fortepjanów, papieru, są fabryki do przerabiania płodów kruszcowych i ziemi, a mianowicie żelaza, miedzi, cynku, szkła, fajansu, broni palnéj i siecznej, wyrobów blaszanych, bronzowych, srebrnych, złotych, platerowanych i mnóstwo innych. Fabryki te znajdują się w różnych miejscach kraju naszego; miasta zaś fabryczne, które wymieniłem, słynne są szczególniéj z zakładów tkackich.

*Jaś.* Któreż miasto między niemi największe?

*Ojciec.* Największe jest Łódź, za niém idą Zgierz, Ozorków i inne. Fabrykantami są wyłącznie prawie niemieccy osadnicy, którzy przychodzą do nas szukać roboty i rzeczywiście bardzo łatwo ją znajdują; bo z żalem powiedzieć wam muszę, moje dziatki, żeśmy nigdy nie lubili trudnić się handlem i przemysłem. U nas dawniéj szlachcic i kmieć pilnowali roli, a w potrzebie rąbać się dobrze umieli; pierwsi nasi książęta, a po nich królowie budowali grody czyli zamki obronne, i te ludem wojennym obsadzali, a dla handlu, dla przemysłu zwoływali osadników, niemców albo żydów i tym pozwalali budować się na przedmieściach, nadawali im różne przywileje, swobody, a przez to ilość tych przybyszów coraz się mnożyła, tak że miasta stawały się czysto niemieckiemi albo żydowskiemi. Otóż i te, o których mówię, chociaż leżą w królestwie Polskiém, ludność jednak mają niemiecką lub żydowską, może wyjąwszy sam Opatówek, w którym żydom mieszkać niewolno.

*Jaś.* Proszę taty, jeżeli Łódź, Zgierz i Ozorków należą do powiatu Łęczyckiego, to zapewne *Łęczyca*, [illegible] miasto powiatowe, jest od nich większe.

*Ojciec*. Ale gdzietam? właśnie jest z nich wszystkich najmniejszém miastem; bo kiedy Łódź ma 25 tysięcy mieszkańców, Zgierz blizko 9ciu, Ozorków koło 7miu, Łęczyca ma ich tylko pięć tysięcy. Ale jest to miasto ważne w dziejach Polski; było ono niegdyś stolicą województwa Łęczyckiego, a pamiętne szczególniej tém, że w niém przed siedmiu set blizko laty, bo w r. 1180, odbył się zjazd powszechny panów duchownych i świeckich, na którym uchwalono różne prawa, zabezpieczające los duchowieństwa i włościan.

*Jaś*. Któż wtedy w Polsce panował?

*Ojciec*. Kazimierz Sprawiedliwy, który prawdziwie na tę nazwę zasłużył; kochał on wszystkich poddanych swoich zarówno, ale najwięcéj opiekował się słabszymi.

*Jaś*. Czy to tego Kazimierza nazywano królem chłopków?

*Ojciec*. Nie; to Kazimierza Wielkiego, który w 150 lat po nim panował. Wracając do Łęczycy, powiem wam, że w niéj wiele pięknych kościołów, ale szczególniéj ważnym pod względem starożytności jest kościół we wsi Tumie, wszystkiego o ćwierć mili od Łęczycy leżącéj, ważnym dlatego, że pamięta jeszcze czasy Księcia Mieczysława, co pierwszy u nas wiarę chrześcijańską przyjął. Założenie jego odnoszą do roku 967, a chrzest święty Mieczysław przyjął...

*Jaś*. O, ja pamiętam, za 8 lat będzie 900, bo Mieczysław ochrzcił się w roku 965.

*Ojciec*. Miasto Łęczyca leży nad rzeką Bzurą, w okolicy bagnistéj, więc niezdrowéj; cała korzyść z tych bagien ta, że się w nich poławiają piskorze.

*Staś*. Proszę taty, służąca nasza z Łęczycy pochodzi; ona opowiadała nam o djable Borucie, który w Łęczycy, w podziemnych sklepieniach zamku przebywa.

*Ojciec*. Moje dziecię, sąto baśnie przez ludzi płochych albo ciemnych powymyślane; do bajek, które zdrowy rozum odrzuca i Kościół nasz potępia, nigdy nie przywiązujcie wiary. Są u nas ludzie tak lekkomyślni, lub tak przesądni, że kiedy dzieci proszą ich, aby im historyjkę opowiedzieć, oni wymyślają lub powtarzają jakie brednie, zamiast tego, żeby je zajmować opowiadaniami z historyi świętéj lub dziejów swojego kraju. Z takiemi ludźmi nie wdawajcie się w rozmowę, bo się od nich niczego nie nauczycie, a czyste pojęcia o wierze świętéj, jakie w was wpajam, bardzo łatwo zamącić możecie.

Na południe od Łęczycy leży miasto powiatowe *Sieradz* nad Wartą, również znakomite w dziejach jak i Łęczyca. W Sieradzu odbyło się kilka ważnych w historyi kraju sejmów, na których naradzano się nad wyborem królów polskich, i innemi sprawami państwa. Najważniejszym był sejm z r. 1383, na którym obwołano królową polską Jadwigę, wnuczkę Kazimierza Wielkiego. Ozdobę miasta stanowi kościół farny, wymurowany na wzgórzu, i zawierający w sobie bogaty skarbiec aparatów kościelnych. Sieradz liczy obecnie pięć tysięcy mieszkańców. Na zachód od niego leży miasto *Kalisz* nad rzeką Prosną, która stanowi granicę między Prusami a Królestwem Polskiem. Jest to najpiękniejsze miasto po Warszawie, chociaż i nie największe, bo liczy tylko 12 tysięcy mieszkańców.

*Jaś*. A ktoreż miasta są większe od Kalisza?

*Ojciec*. Pierwszem po Warszawie co do liczby mieszkańców jest miasto fabryczne Łódź, za niém idzie Lublin, daléj Płock, a potem Kalisz, które jest piątem z rzędu miastem w Królestwie. Jest ono bardzo handlowe, ma wiele fabryk, szczególniéj zaś słynną jest fabryka sukna braci Rephan. Ale co do tego przedmiotu, to najsłynniejszą jest fabryka Fiedlera w *Opatówku* pod Kaliszem, z któréj wychodzące sukna mają wielką wziętość nietylko w naszym kraju, ale i za granicą. Z kościołów Kalisza najsłynniejszemi są kościół katedralny pod wezwaniem Sgo Józefa i starożytny kościół Sgo Mikołaja. Z powiatem Kaliskim graniczy z północy powiat Koniński, w którym miasto powiatowe *Konin* nad Wartą ma 5 tysięcy mieszkańców. Na północ od Konińskiego ciągnie się powiat Włocławski, w którym miasto główne *Włocławek* nad Wisłą liczy się do najbardziéj handlowych miast w Polsce. Powiat Włocławski leży w ziemi Kujawskiéj i ciągnie się aż do Pruskiéj granicy.

*Jaś*. Dlaczego tato mówi w ziemi Kujawskiéj? czy ziemia Kujawska nie jest Polską.

*Ojciec*. Owszem tak samo Polską jak i inne. Ale kraj Polski składał się z różnych części, które miały odzielne swoje nazwy. Kujawy zajmowały ziemię po lewym i częścią po prawym brzegu Wisły, i ciągnęły się od Włocławka aż do Bydgoszczy. Włocławek nazwany tak od Władysława II, syna Bolesława Krzywoustego, założony przed siedmiuset laty, a mianowicie koło roku 1140, jest stolicą biskupów Kujawskich, którzy przenieśli się tu z Kruszwicy. Kościół katedralny, zbudowany na wzgórzu, liczy się do naj-

piękniejszych świątyń polskiej ziemi. Obecnie Włocławek liczący przeszło 6 tysięcy mieszkańców, słynnym jest szczególniéj z handlu zbożowego, który w obszernych rozmiarach z zagranicą prowadzi. Mówiąc o Włocławku nie mogę zamilczeć o jednéj wsi do powiatu Włocławskiego należącej, a bardzo słynnéj w dziejach Polski; wieś ta nazywa się *Płowce* i leży niedaleko od miasteczka Radziejowa.

*Jaś*. Z czegóż tak słynne są Płowce?

*Ojciec*. Z tego, że na równinach okiem nieprzejrzanych w pobliżu Radziejowa, pod wsią Płowcami, król Polski Łokietek na głowę pobił w roku **1331** Krzyżaków.

*Jaś*. Któż to byli Krzyżacy?

*Ojciec*. Byli to niemieccy zakonnicy, którzy w r. **1190** zawiązali między sobą bractwo w celu pielęgnowania swych ziomków, którzyby w pielgrzymce do Ziemi Świętéj w jaką wpadli chorobę. Niemcy mieli oddawna swój szpital w Jerozolimie pod wezwaniem Najświętszej Panny, a ztąd i zakonnicy, którzy w nim chorych pielęgnowali, przyjęli nazwę braci Maryanów czyli braci szpitala Maryi Panny. W roku, o którym wspomniałem, zakonnicy ci przyjęli na siebie jeszcze i inne obowiązki, a mianowicie obronę pielgrzymów od napadu Mahometanów i rozszerzanie wiary chrześcijańskiej; lecz gdy Mahometanie wyrugowali ich z Ziemi Świętéj, rycerze—zakonnicy przenieśli się do Europy, szukając okoliczności, gdzieby się z swém męztwem popisać mogli. Właśnie w tym samym czasie Konrad książę Mazowiecki, który miał swe ziemie po obu stronach Wisły, prowadził ciągłe utarczki z Prusakami, którzy na północ jego krajów aż do morza mieszkali. Nie mogąc sam im podołać, wezwał rycerzy, żeby mu dopomogli do upokorzenia nieprzyjaciół, ale z warunkiem, żeby wszystkiemi krajami zabranemi rycerze podzielili się z Konradem. Za pomoc zaś, jakiéj od nich żądał, ustąpił im ziemię Chełmińską, ale tylko na czas pókiby Prusaków nie podbili. Byłoto w roku 1228. Rycerze ci nosili płaszcz biały, na którym z lewéj strony wyszyty był krzyż czarny, ztąd też i nazywano ich krzyżakami.

*Jaś*. A to oni pomagali Polakom; za cóż ich król Łokietek pobił pod Płowcami?

*Ojciec*. Bo kiedy Krzyżacy urośli w potęgę i Prusaków ujarzmili, nietylko że żadnéj części Polakom nie dali, ziemi Chełmińskiej nie zwrócili, ale jeszcze zdradą, podstępem Polskie kraje pozabierali, i bezustannie trapili Polskę napadami, paląc wsie i miasta, zabierając dobytek, unosząc skarby i pędząc ludzi w niewolę. Miarka cierpliwości ze strony Polskiej się przebrała, i wtedy to Władysław Łokietek wojnę im wypowiedział, i zbił ich potężnie pod Płowcami.

*Jaś*. A potém?

*Ojciec*. Potém? prawdziwie w kłopot mię wprowadziłeś tém zapytaniem. Potém, Krzyżacy dokuczali Polakom jak i przedtém.

*Jaś*. A królowie Polscy co na to?

*Ojciec*. Opierali się im jak mogli, ale przecież dobra sprawa wzięła górę i w roku **1466** wszystkie ziemie Polskie powróciły pod berło naszych królów, a Krzyżakom zostawiono tylko część podbitych przez nich krajów Pruskich i to jeszcze z warunkiem uznawania i w téj pozostałéj części króla Polskiego za swego zwierzchniego pana.

*Jaś*. Czy i dotąd w Prusach mieszkają Krzyżacy?

*Ojciec*. Nie; w roku **1525** zakonnicy porzucili habit, pożenili się, oderwali się od kościoła Rzymskiego i przyjęli naukę Lutra; takim sposobem cały kraj został *sekularyzowany*, tojest stał się świeckim. Ale oto zagadaliśmy się o krzyżakach, a mamy mówić jeszcze o miastach gubernii Warszawskiéj; chociaż i to prawda, że z powiatowych o dwóch tylko jeszcze nie wspomnieliśmy, o *Rawie* i *Kutnie*. Rawa, niewielkie miasto, ma 4 tysiące mieszkańców, a Kutno ma ich 5 tysięcy. Wiedzieć tylko winniście, że powiat, w którym Kutno jest miastem głównem, nazywa się powiatem Gostyńskim, nazwanym tak od miasteczka Gostynina, które było niegdyś ziemi Gostyńskiéj stolicą.

*Jaś*. Czy to już wszystkie miasta powiatowe gubernii Warszawskiéj?

*Ojciec*. Wszystkie, a wyliczże mi je teraz.

*Jaś*. Tata myśli, że ja nie pamiętam: Mińsk, Łowicz, Piotrków, Wieluń, Łęczyca, Sieradz, Kalisz, Konin, Włocławek, Rawa i Kutno. Otóż i wszystkie **11**, bo dwunasty powiat jest Warszawski, którego zarząd znajduje się w Warszawie.

*Ojciec*. Dobrze, teraz pojedziemy na południe, do gubernii Radomskiéj.

---

W druk. J. Ungra.—Wolno drukować. Warszawa d. 25 listo. (7 grud.) 1857 r. —Starszy cenzor, *F. Sobieszczański*.